

# Żołnierz ariergardy czy mistrz cechowy? Kilka uwag o Michale Świdrze

*Antonina Karpowicz-Zbińkowska*

**M**ichał Świder wydaje się erudyta, który pieczołowicie wybiera według własnego gustu i smaku rozmaite elementy kunsztu malarskiego dawnych mistrzów, jak choćby czysty rysunek profilu, wzięty trochę z Giotta, a trochę z Muchy, hieratyczność postawy z malarstwa egipskiego lub przeciwnie – miękkość układu ciała z secesji, wreszcie symbolikę nawiązującą do mitologii, tematyki biblijnej czy wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa ascetycznego, ale niejednokrotnie w zaskakujących, bardzo świeżych zestawieniach. Wszystkie niemalże symboliczne sceny, wszystkie metafory (niczym u symbolistów), czy to personifikacje (niczym u Malczewskiego), czy obrazy biblijne (niczym u prerafaelitów) – mają w jego ujęciu postać pięknej dziewczyny z niepokojącym bądź właśnie rozmarzonym, przymglonym spojrzeniem. Świder więc, przy pobieżnym przeglądaniu jego prac, jawi się właśnie jako erudyta, który układa autorską, bardzo przemyślaną kompozycję niczym z kwiatów najwonnejszych, dobranych starannie, a zarazem ubiera postacie w pewną manierę: wystudowane, geometryczne łuki brwiowe, wysmukłe linie dłoni, blade tęczęwki oczu, niepokojąco podobnych do jego własnych.

Można by powiedzieć, że to twórczość epigońska, jednak byłoby to zbyt wielkim uproszczeniem. Do jego obrazów chce się powracać i je kontemplować. Obok niepokojących znaczeń, które budzą w sercach i duszach jego odbiorców czasem dawno zapomniane tony, te obrazy są po prostu niezwykle piękne. Jednak nie sposób rozpatrywać jego prace bez wgłębienia się w to, jak on sam rozumiał swoją twórczość. Czuł się bowiem nie tyle artystą we współczesnym rozumieniu, co raczej rzemieślnikiem, członkiem nieistniejącego już cechu malarzy, mistrzem, owszem, ale w jak najbardziej tradycyjnym rozumieniu.

Dochodząc do wniosku, że sztuka współczesna w pewnym sensie doszła do ściany, a więc zagubiła po drodze cały swój sens, zwrócił się ku temu, jak kiedyś rozumiano fach czy etos malarski. Ponieważ zagubiono współcześnie ten sposób, w jaki kiedyś przekazywano z pokolenia na pokolenie kunszt w danej sztuce, postanowił podążać tą nieistniejącą obecnie już ścieżką.

W świecie zdominowanym przez system akademicki nie istnieje możliwość terminowania u mistrza malarskiego, nie istnieje egzamin mistrzowski. Michał Świder, utytułowany artysta malarz, postanowił więc sam uczyć się technik malarskich, ale po mistrzowsku, czyli w najbardziej tradycyjny, sięgający średniowiecznych gildii, sposób. Uczył się bez nauczyciela, jedynie podpatrując dawnych mistrzów, na koniec zaś, zamiast egzaminu mistrzowskiego, namalował trzy dzieła: *Narodzenie Maryi*, *Św. Jerzego* oraz *Ukrzyżowanie*, które to w dawnych cechach malarskich stanowiły zwieńczenie terminowania u mistrza i złożenie swego rodzaju egzaminu mistrzowskiego.

Może nieco zbyt serio potraktował kwestię konieczności formalnego dopełnienia wykształcenia na modłę średniowieczną, ale zrobił to, by niemal cieleśnie, a nie tylko duchowo, dołączyć do konfratrów z gildii malarskiej. Natomiast to jego dążenie do uczenia się na podstawie podpatrywania warsztatu dawnych mistrzów, a także podchwytywania elementów ich kunsztu, przypomina mi bardzo ścieżkę, którą szedł inny mistrz zupełnie innej sztuki, mianowicie Jan Sebastian Bach.

Dla współczesnych Bacha jego sztuka też wydawała się epi-gońska, wręcz staroświecka. Ale czy ktoś mógłby powiedzieć, że muzyka Bacha jest nieoryginalna? Bach sam uczył się swego fachu, kopiując dzieła dawnych mistrzów kontrapunktu, a później genialnie wykorzystywał te umiejętności, które przy tym zdobył, we własnych dziełach, czy to w mistrzowskich organowych opracowaniach chorału, czy w prowadzeniu duetu głosu ludzkiego z towarzyszącym mu koncertującym instrumentem, czy wreszcie w superspekulatywnych rozwiązaniach na poziomie samej struktury kontrapunkcyjnej.

Zatem to, co wyróżnia szczególnie Michała Świdra jako twórcę, to jego postawa, która nie jest postawą artysty w stylu heglowsko-niczańskim, nadczłowieka rzucającego wyzwanie samemu

Stwórcy i obalającego zastany ład, tworzącego coś, czego dotąd jeszcze nie było. Jego postawa to raczej właśnie pokora rzemieślnika, mistrza cechowego, który wpisuje się w pewien kanon sztuki wypracowany przez pokolenia poprzedników. Zarazem w jego ujęciu jest to kanon potraktowany niezwykle oryginalnie i twórczo.

Wreszcie, jak on sam to ujmuje, stosowanie się do reguł, podążanie ścieżkami ustalonymi w ramach kanonu danej sztuki jest swego rodzaju służbą i zarazem pewną ścieżką do odnalezienia prawdy. Przeciwnie zaś sztuka abstrakcyjna, która odrzuca wszelkie reguły i prawa, jest porzuceniem Prawdy i Piękna, jest rzuca-  
niem Bogu w twarz: „Non serviam!”.

Co ciekawe, pierwsze pokolenie abstrakcjonistów Świder porównuje do tych, którzy świat reguł porzucili, choć sami jeszcze je poznali. My moglibyśmy powiedzieć, że pierwsze pokolenie tych herezjarchów sztuki można porównać do pierwszych protestantów. Ich wina jest zatem oczywista, bo znając prawdę – porzucili ją. Kolejne pokolenia już tych prawideł nie znały, wychowywały się w wykrzywionym obrazie, tu odpowiednio: piękna lub wiary.

Twórczość Michała Świdra daje nadzieję, światełko w tunelu, że nadal, pomimo zerwanej tradycji, czy to w sztukach pięknych, czy w muzyce, filozofii, teologii itd., można tworzyć, i to oryginalnie oraz twórczo, podejmując i rozwijając dawną tradycję. On sam mawiał o sobie, że jest w ariergardzie sztuki (co ktoś nieżyczliwy mógłby tłumaczyć, że po prostu jest zacofany), ale jest w niej po to, by chronić to, co cenne, od całkowitego zniszczenia i zapomnienia. Tymczasem jego dzieło to jednak coś o wiele większego niż tylko ariergarda, to po prostu sztuka. ■